

Wywołane z pamięci

Waldemar Sulisz



LESZEK MĄDZIK (SOFIA)

*Niech cię nic nie smuci
niech cię nic nie przeraża
wszystko miją*
św. Teresa z Avilla

Pejzaż setek wypowiedzi na temat twórczości Leszka jest rozległy, nasycony metaforą, ma nieprzejrystą głębię i sposobem filozofowania zadziwia samego zainteresowanego. W tym pejzażu trafia się *redukcja dyskursywności słowno uwarunkująca redukcję dyskursywności innych elementów; brak czasoprzestrzeni ciągłej i dyskursywnie uchwytej; morfologii czasowo-przestrzennie obywatli; logiki kadenacji obywatli; pozostawienie sensu komplementarnego do sensu przegadności - sensu transcendentnego*. To sztuka przykuwa uwagę efektem samego bytowania, a zastanawia stopniem tetrastrazij konspicji - twierdzą znawcy przedmiotu. To przykłady niezliczonych prób analiz tego, co dzieje się w teatrze stworzonym przez Leszka Mądzika. Wydaje się, że im dłuższy ten teatr trwa, tym złożoność interpretacji wzrasta, a jest ona nieproporcjonalna do prostoty przeżyć, które tkwią u podstawy tego teatru. Tak się złożyło, że przez trzy miesiące przyszło nam z Leszkiem rozmawiać o tym, co w tym teatrze najważniejsze. Rozmawialiśmy w pracowni, w letnim domku położonym w Rogóżnie, wreszcie co najważniejsze - podczas podróży sentymentalnej, w którą udaliśmy się w kierunku św. Krzyża.

Chwila wspomnień

Leszka poznałem w 1978 roku podczas studiów na KUL. Tak się złożyło, że wstąpiłem do jego teatru, by najpierw odpowiadać za emisję muzyki. Później samemu mogłem dokonać opracowania muzycznego do *Zielnika* i wybrać fragmenty ukochanych muzyk do *Włgoci*, w której funkcjonowały one na równych prawach z kompozycją Jana A. P. Kaczmarka. Kiedy dziś po latach oglądam oba spektakle, to wieczorem wyjmuję płyty, z których przy udziale Marka Choldzyńskiego, w studiu Polskiego Radia w Lublinie, prokurowaliśmy ilustracje muzyczne.

Z tymym okresem wiąże się jeszcze jedno wspomnienie, kiedy z Leszkiem wno-

pr.

Na przykład, NR 8 (63), 'X 98

21

siliśmy do pracowni rzeźbiarskiej Liceum Plastycznego worki gipsu. Z tego gipsu młodziutka uczennica „plastyka”, Małgosia Kasperek, wykonała odlewy do portretów rzeźbiarskich grających w Wilgoi, gdyż te przygotowane przez Eugeniusza Gutkowskiego zniszczył czas. Małgosia została później moją żoną i fascynacją do teatru Leszka jest tym, co łączy nas i dzisiaj.

Na próbie

Podczas powstawania Wilgoi towarzyszyłem Leszkowi na próbach. Zaprosił mnie do „stolika” reżyserskiego na maleńkiej widowni. W skupieniu prowadził światła i co raz pytał mnie o wrażenia z „malowanych” światłem obrazów. Zapamiętałem jego niepewność i pokonę wobec tworzenia spektaklu. A kiedy w finale woda zaczęła ściekać z przewieszzonego przez linę ciała Danusi Brzezińskiej - powiedział: „musi być jeszcze bardziej wymoczone”. Kiedy później przyszło nam grać Wilgoć w rozmaitych miejscach i o rozmaitych porach, to szukało się ciepłej wody, by oszczędzić aktorce chłodu. Lecz kiedy publiczność zapatrzyła się w finał na dobre - wisiała po kilka, a nawet kilkanaście minut.

Rytuały

Te nasze spotkania od maja do lipca miały swoje rytuały. Zaczynały się o dziewiątej rano, kiedy dom jeszcze spał. Ponieważ pytania były coraz trudniejsze, a i obrazy wywoływane z pamięci coraz bolesniejsze - obaj odsuwaliśmy początek rozmów jak się da. Leszek schodził na dół i przynosił w imbryczku własnoręcznie parzoną zieloną herbatę z cytryną. Z czasem rozmawiało nam się coraz pewniej, a i proporcje herbaty i wody wychodziły Leszkowi coraz lepiej. Na kolejnym spotkaniu, już w Rogóźnie, zaskoczył mnie jeszcze bardziej. Po półtorej godzinnej rozmowie zaczął przygotowywać obiad. Na początku podał zupę grzybową z makaronem. Później był fantastycznie spaghetti z maleńkimi papryczkami „diavollini”. Na koniec wyprosił mnie na werandę, by po paru minutach postawić na stole puchary wypełnione rozmaitymi owocami i polane pyszną, waniliową śmietanką. Od tej strony go wcześniej nie znałem.

W pracowni

Leszek otoczył się pięknymi i przedziwnymi przedmiotami. Zamiast biurka jest stół na ciekawie rzeźbionych nogach. Pełno na nim szpagółów, ksiąg i książek, listów, karteczek z telefonami. Z boku regał z książkami, wpuszczony w ścianę. Na nim święte relikwie, krucyfik, a na głównym miejscu portret Aliny. Taką samą fotografię dostalem od żony Leszka przed laty, i ta sama Alina uśmiecha się też do mnie, choć już w teatrze nie jestem. Na ścianach obrazy, grafika, stare ramy, obraz Ukrzyżowanego, skrzydło anioła, tablica z podpisem pod obrazem trumiennym. I bardzo dużo płyt. Po pracy płyty, których



DROGA NA ŚWIĘTY KRZYŻ

wspólnie słuchaliśmy, pożyczal mi Leszek do domu bardzo niechętnie. Prawie cały czas towarzyszyła nam muzyka Jan Garbarka i Tomasa Stańki. Refleksyjna, wyszczona, tęskna bardzo pomagała przy opracowywaniu nagranych na taśmy rozmów.

Pejzaże pod powiekami

Zaczęliśmy od wspomnień. Wyszedłem z założenia, że czytać sztukę Leszka trzeba przez komunikaty o jego dzieciństwie, o przeżyciach, które w prosty sposób transportują się na jego sztukę. Leszek jest wzrokowcem, pomyślałem, że najlepiej jak zamknę oczy i wywoła z pamięci zapamiętane pejzaże. Będziemy te pejzaże wspominać, rozpamiętywać i starać się zrozumieć, jak pojawiają się później w spektaklach. Na samym początku Leszek powiedział mi, że Brodzki nie czytał Becketa przez jego utwory, a przez twarz. Później dodał, że czasem sam się dziwi, skąd ludzie tyle filozofują o jego teatrze. A tymczasem on świat czyta przez zwykłą codzienność i proste przeżycia.

W Bartoszowinach

Domu rodzinnego przy drodze już nie ma. Została ścieżynka pośród łąk, prowadząca na święty Krzyż. Po drugiej stronie ulicy zachował się pośród drzew dom krewnych. Podeszliśmy bliżej. Z wybitych okien straszyla pustka. W kominach zagnieździły się ptaki. Obojętny przechodzień spojrzal na nas, szukających śladów przeszłości. Parę kilometrów stąd, w Garbaczku ojciec Leszka był kancelistą. Będąc w Armii Krajowej, na koniu przyjeżdżał do mamy, tak pośród gór i wojennej zawieruchy urodziła się ich znajomość. Z garbaczkiego dworu zostały matne ślady, jakiś komin, mur.

Ziarno po ziarnku

Szedł na św. Krzyż kamienny pielgrzym ziarno po ziarnku. Surowa rzeźba bardzo młodego chłopca intrygowała. Dziadek M. chał Cichości, do którego przyjeżdżał na wakacje, opowiadał, że jak dojdzie do klasztoru, to będzie koniec świata. Rano zjawiały się rozterki: a może ten pielgrzym już doszedł. Przy kościelnym murze w Słupi Nowej stała druga rzeźba. Kamienna postać kobiety. Zostawił ją ponoć ten pielgrzym i tu, przy kościółku czeka na niego. Kiedy w parafialnej kancelarii oglądaliśmy w księgach metrykalnych zapis aktu chrztu, zwróciłem uwagę na bardzo młody wiek matki. „Była bardzo młoda i za

wcześniej odeszła z tej ziemi” - powiedział Leszek.

Na świętym Krzyżu

Przebyliśmy drogę wspólnie. Jak przed laty, wyloniła się przed Leszkim biel klasztornych murów. Najpierw zagłądaliśmy przez okienka do podziemi. Kiedy zajrzał tam w wieku jedenastu lat, z ułożonych szeregiem trumien światło utworzyło śmiertelny fryz. Będzie powtarzał bieg tego światła w kolejnych spektaklach. Dotykał nim i obrażał przed zachwyconym widzem kontury trumien, katafalków, ludzkich kończyn i modlitewnie złożonych dłoni. To świętokrzyskie światło stanie u początku istoty teatru.

Dzięki uprzejmości ojców Oblatów zezwolono nam zejść pod posadzek kościoła. Do spoczywających tu mnichów, do pierwszego przed laty doświadczenia Leszka z pejzażem śmierci. Obraz rozpadających się trumien i bezbronność człowieka resztek były wstrząsające. W pewnym momencie Leszek nachylił się nad jed-



Fot. Andrzej Owczarek

PRZY ORGANACJI
PODZAS
KALIKOWANIA,
W MOMINIE

na z trumien, by za zgodą zakonnego przewodnika oderwać zeń kawałek żalobnej tkaniny. Powędrował do pracowni ten najprawdopodobniej kir, przesiąknięty przez wieki zapachem odpoczywających ciał. Człowieczy talizman, fragment żalobnego fryzu, znak zanikania, ślad nieskończonej wędrówki ku wieczności.

Uliczka Wesola

Od dzieciństwa Leszka nie zmieniła się nic. Kocie lby, sklepiki ze słodyczkami i poważne sklepy z trumnami. Jako mały chłopiec codziennie je mijal i w wiensza, który złożył do rytmu, razwał je wiecznymi sklepami z meblami. Uliczką zdążyły karawany. Wcześniej musiały jechać Domaszowską, gdzie codziennie mijaly okna, z których wyglądał Leszek. Z cyklicznego rytmu, ze stałości i nieuchronności tych cmentarnych podróży, z dźwięku muzyki rozdził się klimat przyszłych spektakli. Z tego mijania tak zachwycił się Leszek w dorosłym czasie myślą św. Teresy z Avilla, zapisaną na zakładce, znalezionej w jej brewiarzu: „Niech cię nic nie smuci, niech cię nic nie przeraża, wszystko mijają”.

Przy więziennym Judaszu

W pierwszej klasie szkoły podstawowej zabrano Leszkowi ojca. Pamięta, jak przyszedł rano w długich płaszczach, niby w odwiecznym. Ojciec z nimi wyszedł i już nie wrócił. Stawali z mamą na ulicy, by choć zobaczyć jego twarz w więziennym oknie. Albo wtedy, gdy prowadzono go ostrzyżonego z więzienia do sądu. Niedzielne widzenia były ważniejsze niż msza. Zza kraty rozmównicy nie było widać twarzy, tylko jej cień. W aktach sądowych zachował się list małego Leszka do Prezydenta: „Drogi Panie Prezydencie, ja Leszek Mądziak proszę cię, abyś zwrócił nam tatę. Jeżeli go zwolnisz, to uratujesz nasz dom”. „Ten okres nie miał oddechu ani szczęśliwości” - mówi Leszek. „Bo cóż mogło cieścić, zastraszanie, regularne wizyty UB, czekanie na widzenia w więzieniu. To była jakaś przegrana nasza”.

Pejzaż wodny i śmiertelny

Także pochodzi z dzieciństwa. Zdarzał się u babci w Stryczowicach. To był najpierw

pejzaż rozmaitych łęk, a następnie pejzaż konopii moczonych w wodzie. Pośród ich rządów, wśród zachodzących procesów odbywały się kąpiele. Bardzo biologiczne, w zapachu rozkładu, bliskie procesom miedlenia. Wodne pejzaże, raz witalne i pełne błogostanu, raz mroczne i nasycone zagrożeniem - przewijać się będą przez spektakle. Od strumyczka, przez kostiumy wodą ociekające, po wodę puszczoną przez senę.

A kiedy babcia odchodziła na zawsze, zapamiętał widok rozwartej trumny i ciało ułożone pośród pachnących bzów. Pejzaż śmiertelny był pejzażem kwiatnym.

W warsztacie

Specjalnością Liceum Plastycznego w Kielcach była tkanina. W szkolnej pracowni uczył się tajników barwienia juty, sizalu, wełny. Uzyskiwanie koloru z naturalnych barwników, budowania struktury materiału, opracowywania splotów, które wzorowały się na starych gobelinach. Fascynowały go ryciny, na których przedstawiono prace mistrzów w warsztatach tkackich. O takim warsztacie nawet marzył, dziś takim warsztatem jest teatr, w którym tkaniny trawione wodą oświetla się światłem, a i z projektowania kostiumów wyręcza Leszka woda, kiedy ścieka po płótnie nalożonym na ciało aktora.

Podczas nauki dużo malował. Zafascynowany sztuką ikony, na deskach malował święte postaci. Nocami wertował albumy, bo nie miał szansy zobaczenia ikon w naturze. Do dziś pamięta wrażenie, jakie uczynił na nim tryptyk w kieleckiej katedrze, przedstawiający koronację Matki Boskiej. W tamtym okresie bardzo mu pomógł obecny ksiądz biskup Mieczysław Jaworski, wówczas rektor Seminarium Duchownego. Kupował od Leszka obrazy i ratował go z kłopotów. W Seminarium odbył się pierwszy publiczny pokaz prac młodego malarza. Przychylność księdza Jaworskiego sprawiła, że w korytarzu, łączącym gmach seminarium z kościołem, mógł zaprojektować groby wielkaroczne. Sposób ich realizacji zamienił korytarz w salę teatralną. Nie wszyscy akceptowali śmiało nowatorstwo, daleko odbiegające od stereotypu papierowej groty, chryzantem i gipsowej figurki Chrystusa.

Żeromski

W szkole zaczytywał się Dziennikami Stefana Żeromskiego. Oglądał jego podpis,

wyryty w kapliczce na Świętej Katarzynie. Obaj pochodzili z tej samej ziemi, a młodzieńczość Kłerykowa była Leszkowi bardzo bliska. Utożsamiał się z opisywanymi przezyciami, podświadomie czuł, że dotykają go podobne sytuacje i podobne są powody przegranych. Szczególnie jeśli szło o pierwsze spotkania z kobietą. Niepowodzenia, bezradności i kompleksy młodego Żeromskiego na swój sposób Leszka dowartościowywały.

O pierwszych miłościach wspomina niechętnie. Spełniały się bardziej w sferze pragnień niż rzeczywistości. Ważne było spotkanie z dziewczyną, która nosiła w sobie intensywne piętno religijności. Codziennie bywała w świątyni i jakby to nie pozwalało jej wypełniać czasu gdzieś indziej. A Leszek bywał tam z myślą o niej właśnie. I gdyby więcej się spełniło, to tak silnie by jej nie zapamiętał.

Kiedy spogląda na swoje dzieciństwo, to nie byłoby dzisiejszej twórczości bez czasu tamtego. Bez tamtych niespełnień, bez braku i niedosytu. I gdyby w tamtym czasie zamierzenia łatwiej i prościej się spełniały, może wcale nie byłoby teatru.

Pracownia pośród jabłoni

Kiedy już znalazł się na historii sztuki, wystawiał w korytarzach Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego swoje obrazy. Któregoś dnia zobaczyła je Irena Byrska, która przygotowywała właśnie w Teatrze Akademickim Wiosnę Norwida. Klimat ikon tak zgodził się z jej wizją, że zaproponowała młodzieńkiemu studentowi przygotowanie scenografii do spektaklu. Tak zwołna malarstwo zaczęło przechodzić w teatr.

Na starcy mieszał z Jurkiem Lysiakiem. Któregoś dnia, kiedy załatwiał coś w Kielcach, przyszedł list z wiadomością o pięknym mieszkaniu. Był to domek ogrodnika. Wiosną, kiedy otwierało się okna - śnieżna biel kwiatów wdziała się do mieszkania. Ten pejzaż sprawił, że był to chyba najbardziej witalny okres w życiu Leszka.

Pośród tych kwiatów, w mieszkanku zapelnionym świętymi obrazami, albumami i książkami zjawiła się któregoś dnia Alina, z którą do dziś szczęśliwie pokonuje zagrożenia codziennego życia.

Po domku ogrodnika nie zostało ani śladu, tak jak nic nie zostało z dziesiątek jabłoni. Zamiast kwiatowego pejzażu przy Alei Krańcickiej rozpostarł swe skrzydła ogromny szpital. W którym mniej radości, a więcej ludzkiego cierpienia. Poręcz w miejscu gdzie kiedyś stał domek, wypada dziś o wiele większa kościelnica.

Bez tytułu

Na obrazach, które nieczęsto maluje, sakralność łączy się z cielesnością i biologią. Nie ma w nich czerni, której tak wiele w teatrze. Jakby z perspektywy ostatecznej uciekał w kierunku tej bezstresowej i witalnej. Przestrzeni bez dramatu i tragedii. W kierunku idylli i błogostanu.



ŚWIĘTY KRZYŻ



Góra i dół

Ludzie przypisują Leszkowi los szczęśliwy. Jest tak z jednej strony. Ale nie wszystko jest w nim uporządkowane. Wciąż zdarzają się góry i doły. Chwile uniesień i zwątpień. Zewnętrzna szczęśliwość materialna nie idzie w parze z komfortem psychicznym. Są także chwile - powiedział mi - że dobrze, że nikł nie wie, jak ja się czuję.

Oto człowiek, takie jeszcze ziarno

Trumna, zapamiętana z dzieciństwa, pojawiła się już w pierwszym spektaklu *Ecce homo*. Tam też padły pierwsze i ostatnie w tym teatrze słowa: „Oto człowiek, takie jeszcze ziarno” i „Dlaczego wywiodłeś mnie z łona”. Trzeci spektakl nazywał się *Wiskra* i w tytule przywoływał moczone w wodzie konopie. W finale *Piątur* widzowie zagłębiali do świeżo wykopanego w ziemi dołu, w którym przy trumnie klęczał człowiek. W *Zielniku* piękne i nagie ciało kobiece przesłonięte zostało atrapiami wyrzniętych ciał, wykonanych z juty i sizalu. W *Wylęgni* wszechobecna woda sączy się z ciała. W *Wewnętrzny* ziemia zasypuje okienko nadziei i jest tak, jakby ktoś sypał na wieko naszej trumny grudy ziemi. W *Brzęgu* światło wylania zarysy postaci, zaplątanych w warstwy włókien. W *Pytaniu* człowiek ze swoim katafalkiem uśnie odpływa w niezręcznym. W *Szaradzie* już nie ma nadziei. Jest destrukcja wszystkiego, bo nie ma ufności i wiary. Spektakl ostatni, *Kir*, jest najmniej konkretny, najmniej widoczny, bo najbardziej pełen powidoków i olśnień. Ale też pełen odzyskanej wiary. Tęsknoty za wiarą mistyków, za świętą Teresą z Avilly i świętym Janem od Krzyża. Jakby prowadził żalobników otulonych kirem w perspektywę uratowania.

Eros i sacrum

O tych sprawach mówiliśmy wiele. Że są dwie rzeczy w teatrze Leszka, za którymi się tęskni, które chciałoby się mieć, które wyzwalają wiele podniecia i energii - to eros i sacrum. Że miłość bywa podobna chęć Werzenki, jest sterylna, czysta i pozbawiona pożądliwości. Ale bywa też zachwyceniem ciała, które kokietuje, zdobywa męczyzynie i daje tak wiele rozkoszy. Wyzwała także lęk, bo już w młodości może nosić w sobie zaczątek śmierci.

Z czasem eros ustępuje miejsca sacrum. W tej przestrzeni szuka się miłości. Wtedy zaczyna się dotykać cudowności tego świata.

Cudowności tego świata

W sercu świętej Teresy, złożonym w Alba de Torres, uczeni dostrzegają ślad rany, powstałej po dotknięciu mistycznym mieczem, które zdarzyło się w ekstazie. Kiedy zmarł św. Jan od Krzyża, zdawało się, że śmierć zamknie dramat życia, którego doświadczył. Dwa lata później, kiedy chciano przewieźć rozłożone szczątki do Madrytu, okazało się, że ciało zachowało się

w idealnym stanie. Odcięto więc jedno ramię na relikwie i zwiłki powieszono do Segowii. Spoczyło tam na trzy lata, by znowu zaznać tęsknoty za relikwiami. Podziękowano je pomiędzy dwa klaszatory. Do Ubedy zawieziono drugą rękę oraz nogę, klasztor w Segowii otrzymał głowę i korpus. Tak pospolite niedoskonałości ludzkich zachcianek nie pozwoliły trwać biednemu ciału do czasu Zmartwychwstania. Sprawili to ludzie, rozpaleni miłością do Jana.

A w zapiskach świętego powiedziane jest, że aby wyciszyć i umartwić w sobie radość, nadzieję, lęk i ból - skłaniać się trzeba: *nie ku temu, co łatwiejsze, lecz ku temu, co trudniejsze; nie ku temu, co słodsze, lecz ku temu, co bardziej gorzkie; nie ku temu, co pociągające, lecz raczej ku temu, co mniej się podoba; nie ku temu, co jest odpooczynieniem, lecz ku temu, co wymaga trudu; nie ku temu,*

co niesie pociechę, lecz raczej ku temu, co jest utrapieniem; nie ku temu, co więcej, lecz ku temu, co mniej; nie ku temu, co bardziej usłowne, lecz ku temu, co niskie i godniejsze uwag; nie ku pragnieniu czegoś, lecz ku pragnieniu niczego. (Obras completas, tłum. Marta Szafrańska-Brandt)

Te słowa tłumaczą i Leszkowe fascynacje i drogi, którą zdąża przed siebie.

NIE ISTNIEJĄCY
MAGAZYN
Z REKWIZYTAMI

RZECZY WYKORZYSTY-
WANE W SPEKTAK-
LU
„SCENY PLASTYCZNEJ”



Fot. Andrzej Jahn



Fot. A. Białozwieda

PRZED SPEKTAKLEM „BRZĘG”



Fot. Andrzej Jahn



Fot. Stefan Ciołek



Fot. Andrzej Retik

„TCHINIE”



TANECZKI JAPONSKIE
ISO MIURA

Fot. Piotr J. Baponeński

„ECCE HOMO”



Fot. Arkadiusz „Srebrny Piłsudski” Ryl

KUKLA Z „KARA”

Fot. Stefan Ciołek

„SZCZELINA”



Fot. Jovana Barzdoszewska-Grel

Patrząc do tyłu

„Nie mam świadomości zżarowanego czasu” - mówi Leszek. Kiedy spogląda do tyłu, ma odczucie, jakby jego dzieciństwo się wydłużyło. Jakby żył z posłizgiem. Marzenia i tęsknoty nie chciały się spełniać, albo spełniały się w innym wymiarze. Zakłócenia i ciocy, przeżyte i zebrane w dzieciństwie i młodości zostały dziś zrekomensowane przez to, co w życiu Leszka się udało najbardziej, czyli teatr.

Kiedy spoglądaliśmy na fotografie, pozwalające cofnąć się do tyłu, kiedy odbywałyśmy podróż sentymentalną - okazało się, że kłama rozpięta pomiędzy dziś a tym samym czasem, skraca się coraz bardziej. Wydarzenia sprzed lat jakby były wczoraj.

W naszych rozmowach, tamten czas rozpamiętujących, co raz wyzwalala się refleksja o kruchości naszego dziania się w czasie. O życiu, któremu na moment kazano

zabłysnąć i powoli gasnąć. O tym, że Leszkowi bardzo trudno z tamtym czasem się rozstać. Że nim się żywi, że zderzenie z nim rzeczywistości - pozwala trwać teatrowi. Że tak na prawdę, niesie na sobie tamtą wrażliwość i tamtą bezradność niczym gąrb.

Srebrna Szkatulka

Gustaw Herling-Grudziński w tomie opowiadań *Srebrna Szkatulka* opisał dzieje srebrnej szkatulki w pierwszym rocznicę śmierci. W tym ulubionym przez Leszka utworze opowiada Herling o bardzo pięknej i bardzo starej szkatulce, darowanej w testamencie drugiemu człowiekowi. Im więcej czasu miało od śmierci właściciela, tym więcej czerniała, i nie pomagały środki do czyszczenia srebra. Dlatego, że srebrne przedmioty, jak ludzie posiadają granicę wieku. Zdesperowany właściciel, dociągając przyczynę tego stanu rzeczy, pod szkłem powiększającym dostrzegł zamknięcie skrytki. Pomiędzy ściankami tkwił stary pergamin. Zawierał tragiczną historię właścicieli. Następnego ranka pergaminowe arkusiki rozpadły się w proch. Zgamaj je i zamknął w szkatulce, zamieniając ją w trumnę z prochami. Nazajutrz szkatulka obkleja się w czarną powłokę, jakby jej ścianki tknęły śmiertelny trąd. Zrozpaczony, pochował ją, rzucając nocą w głęboką, morską toń.

Kiedy przeczytałem opowiadanie, wydało mi się, że moje pytania przypominają dobywanie pergaminu ze skrytki srebrnej szkatulki. Wielokrotnie słyszałem od Leszka: „Już się zmęczyłem, aż mnie głowa rozbolała. Już dziś nic ci nie powiem”. A zarazem mieliśmy świadomość, że po raz pierwszy dobywamy takich wspomnień, przeżyć i stanów, które za sprawą splotu zdarzeń i prostoty przeżyć przerosły się w teatr. Że w naszych rozmowach dostrzeżliśmy drogę, którą nazywamy życiem.

Jeśli tylko można nazwać to życiem

Zamknąć chciałbym tę wizytę w pracowni, słowami świętego Augustyna, przepisany mi z programu do spektaklu *Kir*. Wszak od czasu, gdy kołczy z nas zaczął ciec w przezraczonemu do śmierci ciecie, bez testunku zachodzi w nim coś takiego, co powoduje zbliznie się śmierci. Jako że w ciągu całego tego życia (jeśli tylko można to nazwać życiem) nieśmiertelność ciała sprawia, że się zamierza ku śmierci. Przechylić nie możesz nikogo, kto nie byłby bliższy śmierci po upływie roku niżeli przed rokami, jutro niż dziś, dziś niż wczoraj, w chwili późniejszej niż obecnie i obecnie niż o chwili wcześniejszej. Albowiem wszelki przeżyty czas odjmuje się od okresu trwania życia; i z dnia na dzień zmniejsza się wciąż to, co zostaje, tak iż przyciąg tego życia nie jest niczym innym jak biegnąc do śmierci...

Waldemar Salas

Postscriptum: Wizyta w pracowni stała się też spotkaniem z Leszkiem Madziak, który ukazał się jeszcze w tym roku ze spektaklem „Jako MEDIA”. Później nad albumem przejął Mikołaj Szpota Zagranicznych.